OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Prenumerata miesięczna zł. 1·95 z odbiorem w administracji

KUPON PREMJOWY dn. 15 października 1934 r.

10 gr.

Rok IV. Kraków, wtorek 16 października 1934 r. Nr. 295

Pogrzeb min. Barthou

był imponującą manifestacją narodową

PARYŻ (PAT). Pogrzeb ministra Barthou zamienił się w olbrzymią manifestację narodową. Na znak żałoby zamarło życie w całej stolicy. Dzieci zwolniono od zajęć szkolnych. Większość sklepów, biur i urzędów zamknięto. Olbrzymie tłumy podążyły na esplanadę Inwalidów, by uczestniczyć w oddaniu ostatniej posługi francuskiemu mężowi stanu. Trumnę zmarłego zasypano wieńcami.

O godz. 13-ej przed gmach ministerstwa zaczęli zjeżdżać się przedstawiciele władz i urzędów oraz korpusu dyplomatycznego — wszyscy w strojach galowych. Uformowała się najwyższa straż honorowa, która towarzyszyła zwłokom przy ich przenoszeniu. W straży tej zajęli miejsce najwybitniejsi przedstawiciele władz i instytucyj z marszałkiem Petain i dożywotnim sekretarzem Akademji Francuskiej Doumic'em na czele.

Po chwili ruszył kondukt żałobny. Za trumną, złożoną na lawecie armatniej, kroczyła najbliższa rodzina, prezydent republiki Lebrun i przedstawiciele szefów państw z ambasadorem Chłapowskim, Sir Clarkiem i ministrem Beneszem na czele.

Dalsze miejsca zajęli przewodniczący Izby i Senatu, premjer Donmergue z członkami rządu w komplecie, wreszcie korpus dyplomatyczny i reprezentanci obcych rządów z ministrem angielskim Sir Simonem i ministrem belgijskim Jasparem na czele.

Za tą reprezentacją oficjalną podążały niezliczone delegacje różnych ugrupowań i instytucyj francuskich i zagranicznych. Kondukt otwierały i zamykały oddziały wojska.

O godz. 13,45 trumnę przeniesiono na specjalnie ustawione podjum na Esplanadzie Inwalidów. Gdy na trybunach zajęli miejsca prezydent republiki i oficjalni przedstawiciele państw i rządów, zabrał głos premjer Doumergue.

MOWA PREMJERA DOUMERGUEA

„Minister Barthou — mówił Doumergue — należał do pokolenia, które poznało klęski, bolało nad niemi, ale zawsze zachowywało wiarę w przyszłość i w nieśmiertelność sprawiedliwości, która wkońcu doprowadzi do triumfu prawa nad siłą. Jak i ja, zmarły był w 1870 r. dzieckiem jeszcze, ale żałoba tych dni ukształtowała jego wolę i wskazywała mu drogę. Ludzie tej epoki mogli się różnić poglądami, zawsze jednak byli jednomyślni, kiedy chodziło o wielkość Francji, o sprawę ojczyzny.

Tragiczny wypadek, zabierając Jugosławji jej najlepszego syna, a nam jednego z największych mężów stanu powinien jeszcze bardziej zacieśnić związek obu krajów.

Niech życie i śmierć Ludwika Barthou będzie dla nas przykładem. Zagrodźmy drogę potęgom zła, które służą dziełu śmierci! Człowiek ten poświęcił swoje życie dla sprawy pokoju, ale pamiętajmy, że dla powodzenia sprawy międzynarodowej trzeba przedewszystkiem uzdrowić sprawy narodowe, a to możliwe jest tylko w drodze zjednoczenia.

Jestem przekonany, że, kładąc te prawdy w serca wszystkich obywateli, daję możność Ludwikowi Barthou służyć Francuzom i po śmierci".

Bezpośrednio potem zniesiono trumnę min. Barthou na lawetę i powieziono ją do kościoła garnizonowego św. Ludwika. W świątyni odprawiono modły.

O godz. 16-ej powieziono zwłoki na cmentarz Pere Lachaise, gdzie je złożono w obecności najbliższej rodziny i przyjaciół zmarłego w grobie rodzinnym.

WSPÓLNICY ZBRODNI

Prasa paryska podaje zestawienie osób, które według dotychczasowych wyników śledztwa, brały udział w zamachu na króla jugosłowiańskiego Aleksandra. Są to następujący rewolucjoniści chorwaccy, członkowie znanej oragnizacji bojowej „Ustawa".

Kelemen, zabójca króla. Prawdziwe jego nazwisko dotychczas nie zostało ustalone, przypuszczalnie nazywa się Rudolf Suk.

Iwan Rajticz, występujący pod nazwiskami Benesz lub Sever, bezpośredni wspólnik zabójcy. Aresztowany.

Zwonimir Pospiszil, występujący również pod nazwiskami Nowak albo Ingar Sungar, również wspólnik zabójcy.

Silny vel Janów Bombay. Tożsamości jego nie stwierdzono. Wspólnik Kelemena, biorący udział w zamachu marsylskim , poszukiwany przez policję.

Malny vel Chainy. Tożsamości jego nie stwierdzono, nie wyjaśniona także jest jego rola w zamachu. Zbiegł z rąk żandarmerji w Fontainebleau. Poszukuje go nadal policja.

Szabo, mąż zufania dr. Pawcelicza, kierownika ruchu nacjonalistycznego chorwackiego i rewolucyjnej organizacji „Ustawa", faktyczny kierownik spisku i zamachu marsylskiego. Niektóre dane wskazują, że jest on osobą identyczną z Malnym, poszukiwanym przez policję.

Wreszcie pewna piękna kobieta, która towarzyszyła spiskowcom w Marsylji i Aix-en-Province, gdzie podawała się za Marję Judrosz vel Vudrow. Kobieta ta zatrzymywała się w hotelach pierwszej klasy. **W jej eleganckich walizkach miał być ukryty cały arsenał.** W ten sposób prawdziwi zamachowcy do ostatniej chwili nie posiadali w swych bagażach nic takiego, coby mogło na nich zwrócić podejrzenie w razie nieoczekiwanej rewizji.

Poza tem duże zaciekawienie nie wzbudza postać niejakiego Kramera, który miał odgrywać rolę organizatora spisku i na którego ślad policja dotychczas nie natrafiła. On to właśnie miał być „delegatem", którego przybycia Novak i Benesz oczekiwali w Paryżu.

Podczas gdy policja kontynuuje obławę w lesie Fontainebleau na Malnego vel Chalnego, niedaleko miejscowości Annemasse, gdzie przebywa Novak i Benesz, **aresztowano podejrzanego osobnika, co do którego zachodzi przypuszczenie, iż współdziałał w spisku.** Stwierdzono narazie, że 8 i 9 b. m. przebywał on w Marsylji.

Reprezentacia Polski na pog zeb króla Aleksandra

Na uroczystości pogrzebowe J. K. M. Aleksandra I-go, króla Jugosławji, udaje się do Białogrodu jako przedstawiciel Pa na Prezydenta R. P. i Armji Polskiej, w charakterze ambasadora nadzwyczajnego, generał brygady dr. Bolesław Wieniawa - Długoszowski wraz z towarzyszącym oficerem.

OD ŚWITU DO NOCY

Pilot szybowcowy Kazimierz Plenkiewicz ustalił wczoraj nowy rekord szybowcowy dla Pińczowa, odbywszy lot na szybowcu S. G. 3, trwający 7 godzin bez przerwy. Ostatni rekord p. Plenkiewicza wynosił 6 godzin i 3 min.

*

W fabryce kół Huty Królewskiej wydarzył się tragiczny wypadek, którego ofiarą padł robotnik Brunon Orlik z Chorzowa. Podczas pracy w fabryce Orlik uderzony został sztabą żelazną w brzuch, doznając ciężkich poranień. Po przewiezieniu do szpitala Orlik zmarł.

Ostatnie wiadomości sportowe

Wczoraj we Lwowie odbył się mecz piłkarski, zakończony wynikiem 3:3 (1:1).

W Warszawie reprez. bokserska Polski pokonała Czechów 11:5.

W Rydze „drugi garnitur" piłkarskiej, reprez. oPlski zwyciężył Łotwę 6:2.

Jak oszukiwano Skarb Państwa

Proces o wielomiljonową grzywnę

Po tygodniowej przerwie została wczoraj wznowiona we Lwowie rozprawa cywilna przeciwko Stanisławowi Rudroffowi, właścicielowi Sp. Brody, pozwanemu przez władze skarbowe z powodu niezapłacenia na czas grzywny 12 miljonów zł.

Jest to najwyższa grzywna, jaką kiedykolwiek w Polsce wymierzono. Grzywna ta została nałożona na Rudroffa za nieprawdziwe podawanie wysokości dochodów w ciągu kilku lat.

Na poprzedniej rozprawie zeznawał kontroler skarbowy, który z ramienia komisji ministerjalnej stwierdził w księgach spółki olbrzymie malwersacje.

W dniu wczorajszym zeznawał kierownik majątków leśnych wymienionej spółki, inż. Golinowski. Stwierdził on, m. in., że w pewnym wypadku kazano mu rzekomo w celach buchalteryjnych podpisać pokwitowanie na kwotę znacznie wyższą, niż świadek otrzymał.

Następny świadek, Antoni Konarski, b. buchalter Sp. Brody, zeznaje obciążająco dla Rudroffa, stwierdzając, że Rudroff polecił mu zaksięgować fikcyjne wydatki i zmniejszył w ten sposób nielegalnie wykazaną sumę dochodów 1.600.000 na zaledwie 230.000 zł. Świadek ten obciąża w znacznym stopniu Rudroffa, wykazując cały szereg tego rodzaju niewłaściwości w podawaniu ksiąg.

Młody król Jugosławji i morderca jego ojca





Młodociany król Piotr II w towarzystwie królowej Matki Rumuńskiej na pokładzie parowca angielskiego w drodze do Francji. — Na zdjęciu prawem, zabójca króla Aleksandra i min. Barthou, Petras Kalemen według fotografji z jego paszportu.

Francuzi walczą o Żyrardów

Wczoraj wpłynęło do Sądu Okręgowego zażalenie grupy francuskiej Żyrardowa, podpisane przez pełnomocników adwokatów Korala i Szulca, przeciwko ostatniej decyzji wydziału handlowego w przedmiocie utrzymania sekwestru sądowego w Zakł. Żyradowskich i unieważnienia ugody biskupickiej.

Grupa francuska wnosi o rozpatrzenie zażalenia w Sądzie Apelacyjnym na posiedzeniu jawnem. Francuzi utrzymują, iż sekwestr powinien być zniesiony, na podstawie głosnego podania komitetu mniejszości polskiej o umorzenie sprawy.

Krytyczna sytuacja piekarzy
na Wołyniu

RÓWNE. Przesilenie gospodarcze dotknęło wszystkie bez wyjątku dziedziny życia handlowego i przemysłowego Wołynia. Najboleśniej jednak odczuwa się skutki katastrofalnej sytuacji w gałęziach wytwórczości rękodzielniczej. Możemy nawet zaryzykować twierdzenie, że rzemiosło wołyńskie przechodzi obecnie najgorszą fazę od czasu swego istnienia.

Jedną z najbardziej kryzysem dotkniętych placówek jest zawód piekarski, który pod wpływem specjalnie niepomyślnych warunków chyli się ku upadkowi, powiększając ciągle szeregi bezrobotnych.

Rozległe województwo wołyńskie z ogromną produkcją rolniczą, siłą rzeczy musiało posiadać większą ilość piekarń, aniżeli inne prowincje. Ilość piekarń na obszarze Wołynia sięgała liczby kilkuset. Zakłady piekarskie odznaczały się w swoim czasie wysokim poziomem technicznym i zatrudniały kilka tysięcy wykwalifikowanych robotników.

Ostatnio nastąpiło zasadnicze pogorszenie sytuacji. Kryzys gospodarczy a przedewszystkiem rolniczy, sprawił, że placówki wytwórczości piekarskiej uległy znacznej redukcji, a dawni właściciele wielkich piekarń na Wołyniu zlikwidowali swe przedsiębiorstwa, przerzucając się do innych zawodów.

Skutkiem ciągłego kurczenia się warsztatów pracy Wołyniowi grozi katastrofa zalewu nową kategorją bezrobotnych — którzy rekrutują się z pośród pracowników kwalifikowanych pozbawieni będą możności korzystania z zasiłków Funduszu Pracy.

Z pośród miast wołyńskich w najlepszej stosunkowo sytuacji znajduje się Równe, które dzięki dużemu skupieniu ludności dostarcza pracy dla licznych rzesz pracowników piekarskich. O wiele gorzej przedstawia się stan rzeczy w Łucku, Dubnie lub Kowlu. Z dnia na dzień piekarnie ulegają likwidacji, a pracownicy ich wyrzucani bywają na bruk bez wszelkich środków do życia.

Zaznaczyć przytem należy, że ci nieliczni rzemieślnicy, którym praca jeszcze nie została wymówiona, pracują w piekarniach wołyńskich w warunkach ciężkich i zarobki ich zgoła nie odpowiadają wartości wykonywanej przez nich pracy.

Rozpaczliwą sytuację rzemiosła piekarskiego pogłębia jeszcze przymus mechanizacji zakładów. Termin mechanizacji wielokrotnie odraczany stanowi groźne memento dla egzystencji większości warsztatów. Jest on bowiem równoznaczny z terminem całkowitego zlikwidowania piekarń. Wobec wysokich kosztów mechanizacji — tylko nieliczne przedsiębiorstwa będą w stanie podołać wymogom ustawy.

Celem polepszenia katastrofalnego stanu rzeczy, piekarze wołyńscy zapoczątkowali akcję w kierunku tworzenia związków zawodowych, których zadaniem będzie zapobieganie bezrobociu przez zakładanie własnych warsztatów pracy oraz przez ingerencję u władz, zamierzającą do uregulowania szeregu najżywotniejszych postulatów tego zawodu.

Należy żywić nadzieję, że zamierzenia powyższe przyczynią się w pewnym stopniu do złagodzenia fatalnej sytuacji pracowników piekarskich na Wołyniu, jak również przyniosą pewne odprężenie w rzemiośle.

Pod sąd opinji Rodziny Czytelniczej
„Nie dzieci dla rodziców, lecz rodzice dla dzieci"

Dziś zabiera głos osoba „Doświadczona", pisząca:

„Pyta Pani czy ksiądz miał słuszność, że opuścił Panią, gdy Pani przyszła do spowiedzi ze skruchą. Ejże, czy ze skruchą? Raczej wyczerpały się Pani sposoby ratunku egzystencji Waszego domu i stąd ta pseudo-skrucha.

Albo Pani słowa księdza źle zrozumiała albo (myślę, że tak było istotnie) źle przedstawiła księdzu swoje życie! Piszę tak, bom podobną historję przeżywała i spowiednik zażądał ode mnie czasowego ślubu czystości (t. j. do czasu ulegalizowania związku) czyli mniej więcej usłyszałam to samo, co Pani.

Żal Pani do spowiednika jest bezpodstawny. Człowiek, idąc do spowiedzi po kilkuletniem zaniedbywaniu ich, idzie nie po t. zw. rozgrzeszenie, lecz idzie ukorzyć się Bogu. Spowiedź u nas chrześcijan obrządku rzymsko - katolickiego jest aktem skruchy i sakramentem pokuty. Niezezwolenie spowiednika przyjęcia Komunji Świętej, bezpośrednio po spowiedzi z długiego (kilko lub kilkunastoletniego) okresu jest *pokutą*, stosowaną ogólnie bez wyjątku płci. Do opieszałego penitenta kapłan powie na spowiedzi: Komunji przyjąć nie wolno. Proszę przyjść tego czy innego dnia". Wówczas należy usłuchać kapłana i w oznaczonym terminie zjawić się ponownie; przystępując do konfesjonału powiedzieć, że się było u spowiedzi tego i tego dnia, ale nie otrzymało się Komunji i spowiadać należy się z okresu ostatniej spowiedzi (bez Komunji).

Samej nalegać na ślub, skoro się żyło zgodnie bez ślubu lata — to nonsens; raczej przez kogoś starać się wpłynąć na przyjaciela, w rozumny sposób tłumacząc, że tu chodzi o dzieci. Często małe dziecko, kochające bardzo rodziców, skoro zrozumie, jaką krzywdę mu wyrządzono, może znienawidzić swoich życiodawców właśnie z tego powodu. „Usłużni" ludzie postarają się „uświadomić" dzieci co do ich pochodzenia, jeśli jeszcze tego niezrobili.

Obowiązkiem Pani jako matki jest trwał tu, gdzie dom i dzieci. Własne upodobania należy złożyć na ołtarzu ofiarnym dla dzieci, którym i tak wielką wyrządzono krzywdę.

Brak ciepła nie jest rzeczą miłą w domu, ale czy tu niema winy Pani, proszę nad tem pomyśleć.

„Ciepło" domu Waszego spoczywa w rękach Pani. W mądry sposób można pouczyć dzieci, jak się mają zachowywać. Rąk nie opuszczać ale dołożyć wszystkich starań, aby dom był *domem* nie hotelem, gdzie się przygodnie śpi i bez żalu porzuca, bo był nam nieprzytulny.

Mądra kobieta intuicja wie, co i kiedy należy uczynić. Radzę Pani dobrze przemyśleć Wasze położenie i mieć na uwadze maksimę „nie dzieci dla rodziców, lecz rodzice dla dzieci żyją i pracują" i nią się w życiu kierować".

Bluźnierstwa przeciw wierze katolickiej
od stopni cerkiewnego ołtarza

KOWEL. Mieszkaniec m. Kowla Borys Babiniec był najpierw prawosławnym, a przeszedł następnie na katolicyzm, a kiedy wstępował w związki małżeńskie wrócił znowu na prawosławie i brał ślub w cerkwi, dokąd zaprosił swych znajomych, wśród nich także katolików.

Ślub odbywał się w dzień świąteczny i poprzedzony był nieszporami. Cerkiew św. Mikołaja wypełniona była w tym czasie wiernymi. Skorzystał z tej okoliczności ks. Ipalij Czerwiński i przemawiając do nowożeńców, nawiązał do przeszłości pana młodego by przestrzec wszystkich obecnych przed przejściem na katolicyzm, albo wiem... wiara rzymsko - katolicka, to „czysty idjotyzm".

„...papiestwo nie ma podstawy w Piśmie Świętem", „...rzymsko - katolicyzm judaszowskim sposobem nakłania prawosławnych do zmiany wyznania" i wreszcie w oratorskiem uniesieniu rzuca: *„rzymsko - katolicy rozebrali bezprawnie sobór w Warszawie i rozgrabili znajdujące się tam bogactwa".*

Enuncjacje ks. Czerwińskiego zainteresowały prokuraturę. Wdrożono dochodzenie karne i przesłuchano szereg świadków zajścia. Ks. Czerwiński stanowczo winie zaprzecza i powołuje również ze swej strony świadków.

Ciekawa ta rozprawa odbędzie się przed Sąd. Okr. w Łucku na sesji wyjazd. w Kowlu.

Aby nie służyć w wojsku,
zastrzyknął sobie parafinę

RÓWNE. Tymofiej Panaszczuk z Małej Moszczanicy w pow. zdołbunowskim sprzykrzył sobie służbę wojskową w 15 p. p. Za poradą „specjalistów" zastrzyknął sobie przy pomocy strzykawki płynną parafinę w prawe kolano i dzięki temu zabiegowi zachorował na chroniczne zapalenie prawego stawu kolanowego. W szpitalu wojskowym w Chełmie poznano się na przyczynie zapalenia. Pomysłowy pan Panaszczuk został wprawdzie zwolniony z wojska z kat. C., jednakże prokuratura pociągnęła go do odpowiedzialności karnej.

Wczoraj stanął przeciwnik służby wojskowej przed Sądem Okręgowym w Równem i skazany został na półtora roku więzienia oraz pozbawienie praw na przeciąg lat 5.

Chciał powiesić chłopca

ŁUCK. Mieszkańcowi wsi Kopyle pod Łuckiem Kiryle Furmańczukowi skradziono skrzynkę. Czy uczynił to 9 - letni Jan Hawryluk, czy też 10 - letni Wasyl Łotwin, niewiadomo zupełnie. Posądzał ich o to jedynie poszkodowany. I gdy pewnego dnia spotkał chłopców wpobliżu swego domu, zaprowadził ich do mieszkania i zażądał zwrotu zaginionej skrzynki, grożąc w przeciwnym razie powieszeniem jednego i drugiego. Przestraszeni chłopcy milczeli, nie wiedząc o co właściwie idzie. Wówczas Furmańczuk chwycił Hawryluka, nałożył mu pętlę na szyję, przerzucił sznur przez umocowany u sufitu hak i rozpoczął nad biednym chłopcem katowską egzekucję.

Po pewnym czasie chciał to samo uczynić z Łotwinem. Rozmyślił się jednak i powiesił po raz wtóry pierwszego „skazańca". A gdy po upływie dłuższej chwili opuścił go na ziemię, chłopiec upadł zemdlony. Wówczas oblał go oprawca wiadrem zimnej wody i wyrzucił do sieni. Było to w miesiącu lutym w czasie silnego mrozu.

Sadysta odpowiadać będzie za czyn swój przed sądem.

Skazanie komunistów-podpalaczy

ŁUCK. Po nieudanych atakach terorystycznych przeciwko chłopom w powiecie kowelskim, którzy nie podporządkowali się akcji strajkowej elementów komunistycznych i dowozili produkty wiejskie do miast i miasteczek, przenieśli komuniści swoją działalność na teren Ołyki.

Rozpoczęło się od agitacyj przeciwko płaceniu podatków i dowożeniu żywności do miasta, od niszczenia urządzeń państwowych i demolowania szkół, a hasłem do ogólnej akcji podburzonego tłumu miał być pożar sterty owsa na polu ordynata ołyckiego ks. Janusza Radziwiłła.

Władzom bezpieczeństwa udało się zlikwidować zamiary terorystów w zarodku, a głównych sprawców oddano w ręce sprawiedliwości.

Na rozprawie odbytej w Sądzie Okręgowym w Łucku skazani zostali: Grzegorz Markiewicz, Paweł Olejnik i Jakób Łuczyński po 8 lat więzienia, oraz Stefan Koszczij na 6 lat więzienia. Wszystkich skazanych pozbawiono praw obywatelskich na przeciąg 10 lat.

Skutki podobieństwa

(S. F.) Podobieństwo panny Reginy Szajn do gwiazdy ekranu, Marleny Dietrich, jest w kole jej znajomych znane i uznane.

P. Regina wie o tem, jest z tego dumna i pewnego razu usiłowała nawet podszyć się pod osobę boskiej Marleny.

Działo się to w Ogrodzie Krasińskich, gdzie do siedzącej na ławce panny Szajn, przysiadł się p. Izak Zabłudnik i po paru minutach rozmowy spytał:

— Chciałbym wiedzieć, z kim mam przyjemność?

I wtedy właśnie p. Regina uśmiechnęła się tajemniczo.

— Nikt w Warszawie nie wie, a panby chciałeś wiedzieć?

Pana Z. odpowiedź ta niezwykle zaintrygowała. Zaczął prosić i nalegać. I wreszcie p. Regina uległa:

— Powiem panu. Ale żebyś pan ani słówka nie pisnął. Dietrichówna jestem.

— Kto?

— Marlena Dietrich. Incognito w Warszawie. Przyjechałam trochę zapoznać to miasto, w którem za mną szaleją. Jestem incognito z powodu boję się za owacje, za tłumy, za bankiety, za bale na moją cześć. Jestem zmęczona i cicho chcę spędzić te parę tygodni w waszem uroczem mieście.

P. Izak zrozumiał, że chcą sobie z niego zakpić. Nie dał jednak nic po sobie poznać.

— Więc pani — spytał — jest ta prawdziwa Dietrichówna z filmu? Aż mi się wierzyć nie chce. Dietrichówna, pokazujcie nogi!

— Poco?

— Chcę sprawdzić. Po nogach ja was poznam na pewno. Ja nogi Dietrichówny znam jak swoje własne!

— Tu w ogrodzie nie można.

— To chodźcie do mnie. Ja tu mieszkam niedaleko.

P. Regina, uważając, że przygodny znajomy posunął się za daleko, wstała obrażona.

— Co pan sobie myśli? — oburzyła się — że z powodu gram czasem prostytutki, to jestem takową? Na filmie mnie się wolno puszczać i wypuszczać. Ja to robię dla sztuki. A w życiu Dietrichówna do byle szmondaka nie pójdzie.

P. Zabłudnik, dotknięty słowem „szmondak", zaśmiał się szatańsko.

— Dietrichówna! Kogo pójdziesz bujać, g..niara? Mnie Zabłudnika? Starego kiniarza? Ja każdy film z Marleną widziałem cztery razy! Ja znam na niej każdą kurzajkę! Z kogo idziesz zrobić idjotę? Paszoł won smarkata, bo cię tak kopnę, że cię cholera zdechnie!

P. Regina cała w ponsach była bliska płaczu. Na szczęście stanął w jej obronie przechodzący p. Dawid Zalcsztejn, który po stoczeniu zaciętej walki z p. Izakiem, powędrował z nim do komisarjatu. „Dietrichówna" kosztawała obydwu panów po 20 zł.

PROGRAM RADJOWY

6.45 Pieśń poranna. 6.48 Muzyka. 7.50 Koncert reklamowy. 12,10 Koncert. 13.05 Tańce. 15.45 Koncert ork. 16.45 Lekcja języka niemieckiego. 17.00 Recital śpiewaczy. 17.35 Rosyjska muzyka. 17.50 „Gospodarka człowieka na morzu". 18.10 Życie kulturalne i artystyczne stolicy. 18,15 Recital fortepianowy. 18.45 „Ostatnia jesienna wycieczka". 19.00 Audycja żołnierska. 19.25 Chwilka lotnicza. 19.30 „W ojczyźnie Napoleona". 19.50 Wiadomości sportowe. 20.00 Muzyka lekka. 20.55. „Jak pracujemy w Polsce". 21.00 I-y Koncert historyczny muzyki polskiej (tr. z Krakowa). 22.00 Koncert reklamowy. 22.15 Melodje filmowe. 23.05 Muzyka taneczna.

W OJCZYŹNIE NAPOLEONA

Dziś o godz. 19,30 feljeton o słonecznej Korsyce — ojczyźnie Napoleona wygłosi przed mikrofonem warszawskim red. Stanisław Poraj.

PIERWSZY KONCERT HISTORYCZNY MUZYKI POLSKIEJ W RADJO MUZYKA, KTOREJ SŁUCHAŁ WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO

Dziś „Polskie Radjo" rozpoczyna cykl koncertów historycznych muzyki polskiej. Pierwszy z tego cyklu, który nadawać będzie Kraków dziś o g. 9 wiecz., przeznaczony jest utworom kompozytorów polskich z epoki Władysława Jagiełły. Tem samem będzie dana radjosłuchaczom możność poznania utworów muzycznych z przed 500 laty — utworów, które według wszelkiego prawdopodobieństwa, wykonane były na dworze króla Władysława Jagiełły w Krakowie kiedy to do wykonywania muzyki używani byli trębacze, fletniści i tympaniści, kiedy to słuchano również cyrzystów gęślarzy.

Wesoły Kącik

MIŁOŚĆ I DESZCZ



Rozpanoszyła się jesień. Rozpadał się deszcz. I pada, i pada. I wszyscy się martwią, że pada.

Tylko nieśmiały Kuba Truś wcale się nie martwi. Wprost przeciwnie, cieszy się.

— Czego się pan cieszy, panie Truś? — pytają go znajomi.

— Deszcz pada.

— No to co? Czy pan handlu je parasolami?

— Nie. Mnie do handlu deszcz niepotrzebny.

— Tylko do czego?.

— Do miłości.

I pan Truś z zadowoleniem patrzy na zachmurzone niebo.

— Pan myśli — wyjaśnia— że tylko grzyby rosną na deszczu? Nie! Miłość też!... Deszcz wogóle daje dużo. Chłopa ze wsi on daje grzyby, reumatyka on daje łamanie w kościach, a mnie daje miłość! Mnie daje awanturki miłosne.

Jak niema deszczu, to ja jestem nic nie wart. Ja nie mam z czem podejść do kobiety. Zabawidamek ja nie jestem, mówić nie umiem i w dodatku jestem nieśmiały. Jak ją mam po wiedzieć do kobiety więcej niż dwa słowa, to ja sie mieszam, sie peszę, ja sie boję policjanta i sie boję, że dostanę w pysk.

Więc z czem ja mam wyjść na ulicę, żeby zdobywać serca? Z moją urodą? Takowej nie posiadam.

Ale za to, jak pada deszcz, to mnie nie potrzebna uroda, mnie nie potrzebna wymowa, mnie wystarczy, że ja mam parasol. Ja wychodzę na ulicę z parasolem.

A wtedy drżyjcie damskie serduszka! Które serduszko sie oprze na słocie, błocie dużego parasola? Żadne!

Czy to będzie czysta dziewica z ulicy Czystej, czy hoże dziewcze z Hożej, czy dzika dziewczyna z Dzikiej, to na deszczu ona zawsze ulegnie parasola! A przez parasola — mnie.

Przypuśćmy leci sobie taka panienka na deszczu i sie spieszy. Ja już jestem tuż. I wyciągam nad nią parasol.

I wtedy ja nie potrzebuje du żo gadać, ja nie potrzebuje być urodziwiec. Ja mam parasol i dlatego mam szanse. Ja sobie mówię tylko dwa słowa:

— Leje, co?

Ona wówczas albo nic nie od powiada, albo odpowiada:

— Leje!

To ja wtedy mówię:

— Pani przemokła.

Ona albo znów nic nie mówi, albo mówi:

— Owszem, przemokłam.

Wówczas ja zadaję ostatni cios.

— Wstąpmy do mnie, to się pani osuszy.

I wtedy ona albo mówi „pas... won", albo nic nie mówi i idzie do mnie. I już!

W parę słów ja mam wszystko załatwione. Ja nie potrzebuję gadać, ja nie potrzebuję się jąkać. Nie z urodą, nie z wymową, tylko parasol i deszcz za mnie wszystko załatwia.

Napoleon Sądek.

Moja pierwsza miłość

Ankieta „Ostatnich Wiadomości" z nagrodami

Tragiczna miłość Jadzi

Zgodnie z naszą wczorajszą zapowiedzią poniżej zamieszczamy, opowiadanie które może służyć Czytelnikom jako wzór. W opowiadaniu tem autor, którego na zwiska nie podajemy, zwierza się nam z prawdziwych swych przeżyć, jakich doświadczył, kiedy był 23-letnim młodzieńcem.

Poznałem Jadzię, kiedy miała 20 lat. Nie była piękna, a mimo to w kawiarni, czy w poczekalni kina, w tramwaju czy na ulicy ściągała ku sobie spojrzenia wszystkich. Szczupła, smukła, bardzo zgrabna, miała rozkoszny uśmiech, puszyste blond włosy, ładnie wykrojone usta, naprawdę zaś piękne miała tylko oczy. Z obramienia czarnych rzęs spoglądały niepokojąco, zaczepnie, pieszczotliwie i poważnie.

Poznałem ją u mego przyjaciela Felka, niedawno ożenionego z uroczą Marysią. Odwiedzałem ich często, nie zapowiadając nawet wizyty, czułem się u nich bowiem jak w domu.

Już w przedpokoju usłyszałem śmiech trojga osób. Felek śle, panią Marysię przestawialiwie, żywiołowo. Pani Marysia chichotała cichutko, jakby pow strzymując się od nadmiernej wesołości, a może raczej wymuszając z siebie śmiech dla towarzyskiej harmonji. Słyszałem jeszcze śmiech trzeciej osoby, śmiech dźwięczny, perlisty, serdeczny.

Zaciekawiony pospieszyłem do pokoju, nie zapukawszy na wet do drzwi. Ujrzałem Felka wygodnie rozpartego na krześle. Wprost nie byłem w stanie iącą bez sensu jakieś filiżanki i w przyzwoitej odległości od Felka, ale również na kanapie — Jadzię.

Zostałem jej przedstawiony. Muszę przyznać, że zrobiła na mnie odrazu niezwykłe wrażenie rząd białych zdrowych zębów, oderwać spojrzenia od jej drobnej twarzyczki, rozchylonych w uśmiech ust, odsłaniających rząd białych zdrowych bębów, a przedewszystkiem od jej oczu.

Usiłowałem być swobodny i rozmowny. Za każdym jednak razem, kiedy spojrzała na mnie krew uderzała mi do twarzy, język plątał mi się jak zaskoczonemu przez nauczyciela sztubakowi. Mówiłem coraz więcej, starając się pokryć zmieszanie, choć zdawałem sobie sprawę, że coraz mniej jest sensu w moich słowach.

Po wizycie, która, nie wiem, jak trwała długo, wyszliśmy razem z Jadzią. Chwilę szedłem w milczeniu. Ja, naogół „wyszczekany" i pewny siebie stra ciłem panowanie nad językiem, wyraźnie odczuwałem strach, by jakiemś niezręcznem odezwaniem się nie społszyć jej, nie wywołać w niej choćby cienia nieprzychylności dla siebie. Jak umiałem najbardziej pokornie, najostrożniej zaproponowałem Jadzi przechadzkę. Zgodziła się na nią chętnie.

Udało mi się wreszcie nawiązać rozmowę o naszych wspólnych znajomych, o pracy, o kinie o wszystkiem innem, o czem może mówić dwoje ludzi, nie dawno sobie przedstawionych.

Tegoż samego dnia umówiłem się z Jadzią, że pójdziemy do kina.

Muszę tu dodać, że byłem wówczas narzeczonym. Zaręczyłem się oficjalnie z przyjaciółką Marysi, bardzo miłą skromną panienką Irusią. Każdy prawie wieczór spędzaliśmy razem czy to na przechadzce, czy w kinie, czy u niej w domu.

Tego wieczora pierwszy raz od wielu miesięcy nie spotkałem się ze swoją narzeczoną.

Po odprowadzeniu Jadzi z kina do domu, wróciłem do swej kawalerki oszołomiony, oczarowany, upojony, rozmarzony. W głowie huczała mi krew, serce rozpierała nieznana dotychczas radość. Chciało mi się śpiewać, tańczyć. Gotów byłem cały świat przycisnąć do piersi, rozdać biednym swój skromny dobytek, czułem się bowiem bogatszy od wszystkich miljonerów świata, a przedewszystkiem szczęśliwy bez miary.

Od tego dnia ogarnęło mnie szaleństwo. Codziennie obdarty bosy chłopak z kwiaciarni za nosił pęki róż do mieszkania Jadzi. Widywałem ją codziennie, rujnując się na kolację w drogich restauracjach, na zamiejskie przejażdżki na drobne upominki, które przyjmowała z tak wdzięcznym uśmiechem, że gdyby nie wrodzona uczciwość, okradłbym cały świat, by najwspanialsze łupy złożyć u jej małych nóżek.

Pod koniec drugiego tygodnia naszej znajomości pozwoliła mi się pocałować, do tego dnia byłem w niej zakochany, po tym pocałunku stałem się jej niewolnikiem, gorzej jeszcze — psem wiernym.

Czy mam dodawać, że nie wi działem się więcej z narzeczoną? Telefonowała do mnie Marysia, wyrzucając mi niegodne wiarołomstwo, niezasłużoną krzywdę zakochanej we mnie szczerze dziewczyny. Machnąłem na wszystko ręką.

Mimo całego zaślepienia, w miarę potęgującej się we mnie miłości, tej najczarowniejszej, najgłębszej, najczystszej pierwszej miłości rósł we mnie niepokój z powodu zachowania się Jadzi.

Widywaliśmy się nadal często. Całowaliśmy się. Godzinami całemi kołysałem ją na kolanach i z niepokojem wpatrywałem się w jej twarzyczkę, na której malowało się roztarg nienie, czasem tajemnicza dla mnie zaduma, to znów nieodgad niony dla mnie i boleśnie zacis kający moje serce smutek.

Wyjaśniło się wszystko szyb ko, aż nazbyt szybko!

Jadzia była kochanką Felka. Pewnego wieczora zastałem ich obydwoje w uścisku. Minęło od tego czasu kilkanaście lat a jeszcze wciąż mam przed oczyma jej nagie opalone ramiona splecione na jego szyji, jej smukłą drobną figurkę, przywartą z takiem oddaniem do je go rosłej barczystej postaci...

Wybiegłem. Błądziłem całą noc po ulicach Warszawy i następnego dnia wieczorem z uczuciem sponiewieranego psa zapukałem do jej mieszkania.

Była sama. Uśmiechnęła się smutnie i poprosiła, bym usiadł. Padłem wyczarpany na krzesło. Podniosłem głowę i chciałem mówić. Ułożyłem sobie wszystko zawczasu: przebaczenie, zapomnienie o wszystkiem, błaganie, by mi ofiarowała swą rękę. Chciałem ją zapewnić, że będę dla niej najlepszym mężem, najczulszym opiekunem. Ona jednak odezwała się pierwsza:

— Nie mów nic! Szkoda słów! Nie kochałam się i nie uda mi się to nigdy, jak nie uda mi się obudzić miłości w tym, którego ja kocham. Odtrącił mnie, mimo mej szalonej miłości. Nie widzę wyjścia z tej męki. Ty jeden możesz się uratować, zapominając o mnie. Nie chcę się więcej oszukiwać i nie chcę cię więcej widzieć.

To były ostatnie słowa, które usłyszałem od Jadzi.

Mam już teraz czterdziestkę i naturalnie przebolałem to wszystko. Myślałem parokrotnie o ożenku, ale dałem spokój! Poco mam kłamać o miłości jakiejś kobiecie, kiedy ciągle pamiętam o tamtej.

Dziesięciolecie KOP-u

placówek pracy żołnierskiej i obywatelskiej

Po latach wojny światowej, po latach wojny polsko - rosyjskiej wyniszczona i zubożała ludność kresowa przystąpiła do odbudowy swych warsztatów pracy. Spragniony pokoju rolnik zaorał, zasiał, odkrył piece i ... zaraz, tu: Spragniony pokoju rolnik zaroznięte, od lat jeno pociskami orane pobojowiska, zamieniać zaczął na uprawne pola, nad ziemiami temi zawisły chmury nowego niebezpieczeństwa — walk i napadów dywer syjnych.

Walka na pograniczu z każdym dniem stawała się tem groźniejszą, że słabe siły policyjne, rozrzucone na dużych przestrzeniach, pozbawione środków łączności i dróg nie były w stanie ruchu tego opanować. Rozzuchwalone zaś bezsilnością policji bandy coraz śmielszych dokony wały napadów na zagrody, wsie i miasteczka, — paląc, rabując i zabijając opornych.

Władze państwowe, widząc jak poważne rozmiary przybrała akcja dywersyjna i grasujący wraz z nią bandytyzm utworzyły „Korpus Ochrony Pogranicza", którego zadaniem „było ochronienia granicy, zlikwidowanie bezwarunkowe i bezwzględne wszelkich zamierzeń wrogich państwu polskiemu, za pewnienie ludności miejscowej spokoju i opieki, ugruntowanie stanu bezpieczeństwa publicznego".

Pierwsze oddziały K. O. P.u sformowane zosały w listopadzie 1924 r. i — w warunkach czysto bojowych, bo nie mając koszar, strażnic i odpowiednich urządzeń technicznych — przystąpiły do pacyfikacji. Jak ogromną była ich praca wskazują dane, iż w przeciągu pierwszego roku wytępiono i zlikwidowano 51 zbrojnych band, odparto 89 band zbrojnych usiłujących przedostać się na teren Polski, oraz zatrzymano lub przyłapano przeszło 5.000 osób na przemycie czy nielegalnym przekraczaniu granic.

Przeprowadziwszy pacyfikację kresów, wyszedłszy zwycięsko z walk z dywersantami K. O. P. nie ograniczył swej pracy do tępienia przemytnictwa, do zabezpieczenia granicy lecz przystąpił do szeroko zakrojonej akcji kulturalno - społecznej.

Praca społeczna korpusu idzie w dwóch kierunkach: w kierunku niesienia pomocy miejscowej ludności we wszystkich wypadkach i przejawach ich życia codziennego, oraz w kierunku pod niesienia wśród niej kultury i uświadomienia obywatelskiego.

Akcja pomocy nie da się ująć w jakieś konkretne linje, któreby dały wierny jej obraz, gdyż wypływa z potrzeb każdego dnia, gdyż tworzą ją nawiedzające ludność klęski powodzi, nieurodzaju czy też pożarów.

A działalność funduszu społecznego? W związku z tem, że KOP stale spotykał się ze stro ny różnych lokalnych komitetów z prośbami o pomoc pieniężną na różne cele dobroczyn ne i społeczne, nie posiadł zaś na ten cel żadnych specjalnych funduszów — żołnierze KOP postanowili dobrowolnie opodatkować się i stworzyć fundusz społeczny żołnierzy KOP. W okresie od 1.XII.31 do 30.XI 32 r. wydano na ten cel 36.294 zł. To w dzisiejszych czasach na wsi jest bardzo dużo.

To KOP ze strony społecznej, obywatelskiej. Podobna praca kwitnie i wewnątrz korpusu. Wiemy, że ze względów od nas niezależnych wśród poborowych jest wciąż jeszcze znaczny odsetek analfabetów. Otóż założeniem KOP-u jest, aby szeregów jego nie opuścił żaden analfabeta. Trzeba się tem pochwalić. W ciągu roku 1932 — 33 ukończyło I-szy stopień nauczania 3030 strzelców, II — 7666, III — 5,330. Nie mówię już o najrozmaitszych kursach, o wycieczkach po Polsce, o specjalnych wydawnictwach KOP-u, tych pięknych kalendarzach, broszurach i gazecie ściennej „Na Straży".

KOP posiada 490 bibliotek z 88 tysiącami książek. Wypożyczono w ciągu roku 130 tysięcy książek. Zespołów teatralnych jest 51 i dały one w ciągu 1932 — 33 aż 375 przedstawień, które oglądało 63 tysiące ludzi, w tem 28 tys. t. zw. cywilnych. Kina mogą się pochlubić większą frekwencją: 88 tys. osób, ale to już jest zjawisko wspólne dla wojska i dla społeczeństwa cywilnego.

Żołnierz KOP-u, rzucony w twarde warunki służby na pograniczu, nietylko wyrabia w sobie wszystkie zalety dobrego żołnierza, nietylko uczy się cenić nadewszystko dobro państwa, ale na miejscu spotyka się ze wszechstronnie prowadzoną pracą oświatową i społeczną. Dlatego też Korpus Ochrony Pogranicza jest pierwszorzędną szkołą żołnierza i obywatela.

Chwytam życie na gorącym uczynku!

Letnia rezydencja bezrobotnych i niemowląt

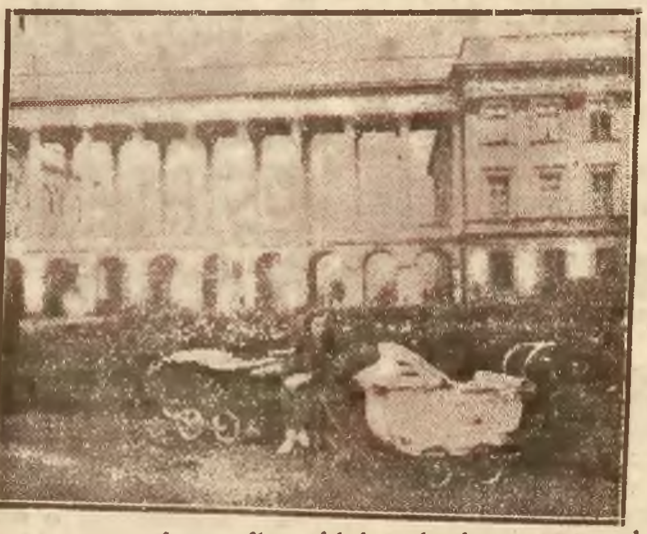
Fotoreportaż Jacka Burego

— Moja pani, niech paniusia sama powie, jak to w życiu niewiadomo! Król, przecie nie człowiek zwyczajny, a na taki marny koniec mu przyszło. Jeden drań i fiu po życiu!

— Każdego czeka to samo...

— Wiadomo, że każdego. Dziś się żyje, jutro gnije. Ale niech paniusia sama powie taki król...

Rozmowa się przerwała, bo...



...ciekawy aparat fotograficzny wypłoszył słowa. Zamiast dalszych wywodów o znikomości królewskiego życia jest zdjęcie gwarzącej parki kumoszek przy wózkach z niemowlętami na tle pałacu Saskiego.

Fotoreporter jest z natury niewdzięcznem stworzeniem. Choćby np. w tym wypadku. Zamiast posłuchać o czem ogród Saski mówi, wsadza objektyw, gdzie nie potrzeba, i ludziom nie daje spokoju.

Trochę w tych słowach jest przesady; bo tylko zważcie: Można, łowiąc życie na gorącym uczynku, zrobić takie zdjęcie...



...i nikt uszczerbku nie poniósł. Dzieciak śpi, jak spał, babcia także samo, a fotoreporter był, nastawił aparat, zrobił zdjęcie i dalej go licho poniosło, gdzie życie tli, albo płonie. Śpij, babciu! Fotoreporter nie jest taki straszny, jak go malują!

Stało się, że przerwałem poprzedniej parce gawędę. Przepraszam! Gdybym ja tego nie zrobił, mógłby to zrobić mój kolega. Kumoszki gawędziły. Toć poto przyszły aby się wygadać. Gadały więc. Dziś o królu, wczoraj o balonach, a jutro życie przyniesie im nowy temat. Drzewa słuchać będą ludzkich zwierzeń, bo takie prawo tego jedynego w swoim rodzaju ogrodu, aby służył różnym maluczkim za letni salon, za przybytek na pogwarki.

Minęły już te czasy, gdy Saski Ogród był przytuliskiem dla młodych. Nie wróci już spokój cichych alejek — alejek westchnień i miłości! Dziś zanim, młodzieńcze zakochany, zdążysz chwycić powietrze w płuca do westchnienia, już ci ktoś na odcisk nadepcze, popchnie, zburczy, bo uliczki służą do przelotów zgorączkowanej ciżby.

Randek sobie nikt dzisiaj w Ogrodzie Saskim nie wyznacza. To już nie ogród—to krzyżownica dróg z różnych stron Warszawy. Alejki służą do przelotów, a tylko ławki dają jeszcze jakie — takie wytchnienie.

O, tak! Na ławkach jeszcze kipi życie, jeszcze amorek z kołczana wydobywa strzały i śle je w płoche serca. Amorek—to ten „podły męski ród", co rozparłszy się na ławce...



...z ukosa śle strzały słodkich słówek. Warszawiaki mówią w takich sytuacjach, że „facet sobie przygaduje". A juści! Przygaduje, tylko skutek jest niewiadomy, bo dama patrzy przed się, jak nieznajoma i słuchu po zbawiona. Ale przecież od tego zwykle się zaczyna! Nie słyszy, nie słyszy, a później się uśmiechnie, zerknie ku sąsiadowi wreszcie bąknie słówko, słowo, zdanie i zaczyna się rozmowa. Gdy po „przygadaniach" się dogadają, ławka opustoszeje i znów kto inny ją zajmie. Taki już los ławki, która publicznej wygodzie ma służyć!

Może znów siądzie inna parka? On zacznie „przygadywać", ona milczeć będzie, słuchać będzie, śmiać się zacznie, zerkać i... dawno już Saski Ogród nie słyszał trzasku w policzek!

Wróćmy jednak do ławki. Gdyby jej nie było, Ogród Saski nie byłby letnią rezydencją bezrobotnych. Stał się nią, bo są ławki. Mają gdzie odpocząć, wyprażyć się na słońcu i...



...przespać. To zwykły obrazek! Gdzież ma człowiek znękany bezdomnością zdrzemnąć się? Usiądzie na ulicy — przepędzi go policjant, wtuli się w ciemny kąt na klatce schodowej — spłoszy go dozorca. Więc gdzie? Wali do Saskiego Ogrodu i „kima". Śpi tak długo, aż go i stąd nie ruszą.

Długie sznury ławek, zwłaszcza w głównej alei, a więc w przelotowej od Żelaznej Bramy do grobu Nieznanego Żołnierza, zajmują bezrobotni. Siedzą w ściśniętym rzędzie, gwarzą, to znów tępo patrzą przed siebie. Przyglądają się szczęśliwym przechodniom, którzy mają dokąd i poco śpieszyć, mają swoje sprawy i zainteresowania. Ci co ławą zasiedli wzdłuż alei, mają tylko jedną myśl, która im się wwierca w mózg: Kiedy zjem i gdzie się prześpię?

Takich pytań jest pełen Ogród Saski, ten sam, który ongiś służył królom za miejsce do rozrywek. Tam, gdzie dawniej rozlegał się śmiech rozbawionych dam dworu, gdzie szepty miłosne wypełniały ustronia, grają żołądki marsza głodowego, a ławki jęczą od ciężaru bezwładnych ciał.

Miał ten ogród kiedyś za pana króla Sasa — piło się, jadło i popuszczało pasa! A teraz pas zaciska każdego, co na Sasa w tym ogrodzie się zamienia.

Historja wzięła swój odwet. Ogród Saski jest letnią rezydencją bezrobotnych. Nietylko! Bez robotni muszą się tutaj prawami dzielić z niemowlętami. Dzielnica niemowląt znajduje się wpobliżu teatru „Letniego".

Inny tutaj nastrój. Lżejszy! Milszy! Pogodniejszy!

Młode dziewczęta rej wodzą i śmiechem umilają sobie obowiązki przy maleństwach.

— Hallo! Śliczne panie! Proszę utrzymać uśmieszek na ustach przez chwilę. Raz, dwa, trzy! Gotowe! Dziękuję!

— Co pan robi?

— Naco?

— Naco, poco, z jakiej przyczyny, powodu, wszelako — że, szaliż, pa! Dowidzenia! Do zobaczenia w „Ostatnich Wiadomościach"!

I czmycham, bo takie śliczności mogą pytaniami wysłać na tamten świat, a przecież takie pyszne zdjęcie się tam szykuje. Zaklinam się na swego wiernego „Rolleiflexa"! Grają w karty. Aparat, jak koń wyścigowy, szykuje się do startu. Plajta! Falstart! Na widok objektywu karty utonęły w kieszeniach.

— Nas pan nie zbuja, panie ładny! — lecą do mnie słowa. W salonie Warszawy chcesz nas pan zdejmować? Przyjdź pan do nas na pl. Broni, to będziem odwalać fotografję za fotografją!

— Przyjdę, panowie, przyjdę, tylko jedna chwileczka...

— Bez lipy!

— Nie boli!



— Już zrobiłem! Co? Zdjęcie! Przecież to wie nawet rozkoszne bobo w wózku i upozowało się do zdjęcia!

— Widzę, że pan szemrany, swój chłopak!

— Oczywiście, tylko...



— ...dziękuję!

— A klisza nie pękła?

— Zobaczymy. Serwus!

Nie pękła, jak widać na zdjęciu. A na plac Broni też pójdę, bo miłem zaproszeniem nigdy nie gardzę. Może tam więcej życia, niż w tym „salonie", w którym dorośli nie mają co jeść, a niemowlęta czem oddychać. Podłe rezydencje mają ludzie dwudziestego wieku!

PRZYGODA W LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ — LUDZIE Z MASKĄ NA TWARZY

Nowopowstałe t-wo wydawnicze „Lektura" przystąpiło do wydawania biblioteki p. t. „Przygody w Legji Cudzoziemskiej".

Będzie to co tydzień mały tomik o 32 stronicach druku, bardzo tani, gdyż tylko 25 gr. za książeczkę.

Kogóż nie interesują tajemnicze przygody ludzi, którzy noszą... maskę na twarzy. Bo w Legji Cudzoziemskiej służą ludzie z całego świata. Można w niej spotkać książąt, hrabiów obok ludzi ze średniej i niższej sfery. A wszystkich łączy jeden sztandar i dyscyplina wojskowa. I dopiero gdy noc upalna pod niebem Afryki, czy Madagaskaru, czy Indo-Chin rzuci zasłonę na obóz, wewnątrz namiotów budzą się w ludziach marzenia. Hrabia jest hrabią, książę—księciem.

Co się dzieje w Legji Cudzoziemskiej, nikt nie wie. Francuzi strzegą zazdrośnie tajemnicy, jaka otacza te oddziały, do których werbunek odbywa się zawsze w okolicznościach niecodziennych. Przyszłego legjonisty nikt nie pyta o paszport. Do szeregów może przedostać się zarówno zbrodniarz wyrafinowany, jak i najszlachetniejszy altruista, kochający ludzkość, a zniechęcony do stosunków w swoim kraju. To też typy żołnierzy Legji Cudzoziemskiej są barwne, a przygody ich wojenne czyta się jednym tchem.

Wydawnictwo „Lektura" zedrze woal tajemnicy, jaka otacza Legję Cudzoziemską i w każdym tomiku odsłoni wiele fascynujących wypadków z jej życia.

Książki otrzymać można w każdej księgarni, kiosku, koszyku, w cenie 25 gr. za tomik.

Obowiązkiem każdego uświadomionego Polaka jest pamiętać o Funduszu Obrony Morskiej. Konto F. O. M. w P. K. O. Nr. 30.680.

TOWAR NR. 1

Wstrząsająca opowieść o losach dziewczyny, odsłaniająca kulisy haniebnego handlu kobietami

Przez całą zimę i wiosnę o tej samej godzinie przechodnie ulicy Kruczej mogli spotkać skromnie ubraną młodą dziewczynę o bardzo pięknej powierzchowności. Była to Jula Krotecka, 19-letnia jedynaczka bogatego ongiś obywatela ziemskiego, zamieszkałego ostatnio w Warszawie. Dotknięty ruiną majątkową, Krotecki zmarł. Jula musiała lekcjami ratować od nędzy siebie i matkę.

W lecie lekcji nie było i sytuacja stawała się nie do zniesienia. Jula postanowiła skorzystać z ogłoszenia w którem poszukiwano nauczycielki na wyjazd. Zgłosiła się i została przyjęta. Zaproponowano jej bardzo dobre warunki, umożliwiające utrzymanie matki. Odjechała pociągiem paryskim wraz z damą, która ją zaangażowała, przedstawiając się jako baronowa Jarow.

W Paryżu obie panie wsiadły do samochodu i po długiem kołowaniu zajechały gdzieś, jak się Juli zdawało, do hotelu. Była tak wyczerpana podróżą, że odrazu zasnęła.

Dopiero nazajutrz zauważyła, że jest w bardzo wytwornym pokoju. Wykąpała się w przyległej łazience. Pokojówka przyniosła jej śniadanie i wyszła. Gdy po śniadaniu Jula także chciała wyjść, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz. Wszelkie nawoływania i pukania Juli minęły bez echa. Zaniepokoiło ją to bardzo.

Jula miotała się bezradnie po pokoju. Nikt nie odpowiadał na jej łomotanie. Stwierdziła, że okna są gęsto okratowane i wychodzą na głuchy ogródek, ogrodzony ślepym murem. Była śmiertelnie przerażona.

W innej zgoła części pałacu, w którym uwięziono Julę Krotecką, siedział przy biurku starszy, otyły pan, średniego wzrostu i średniego wieku. Taka sobie twarz bez wyrazu, okrągła i nalana. Na głowie już tylko kępki ciemnych włosów. W małych oczkach połyskiwały niemiłe iskierki. Widać było, że odzwierciadlały myśli niedobre. Musiał to być bogacz, sądząc z ilości pierścieni na grubych, krótkich palcach, wielkiej perły w drogim krawacie oraz papierośnicy, wysadzanej gęsto brylancikami. Ubranie musiało być skrojone przez najwykwintniejszego krawca, bielizna — jedwabna.

Umeblowanie — pałacowe. Mniej może świadczyło o dobrym smaku właściciela, ile o jego zamożności. Nagromadzenie zbytku było tu więcej wyzywające, niż miłe.

W pewnym momencie na biurku zapaliła się czerwona lampka. Otyły pan leniwym ruchem chwycił za leżącą przy lampce słuchawkę i zapytał:

— No? Co tam takiego?

Usłyszana odpowiedź musiała go usposobić przychylnie, bo w rybich, wypukłych oczach błysnęło zainteresowanie i kiwnął głową z pewnem zadowoleniem. Rzekł zaś tylko:

— Aaa... prosić, prosić...

Po chwili skrzypnęły drzwi i ukazała się w nich dama, znana nam już jako baronowa Jarow. Pan z za biurka powitał ją radośnie, podbiegł ku niej, poklepał po ramieniu, podsunął krzesło i wołał:

— Jakże się cieszę, pani baronowo, że panią znów widzę u mnie. Cóż? Przypuszczam, że wszystko świetnie?

— Rzeczywiście jak najlepiej — odparła baronowa po francusku — zdaje się, że będzie pan ze mnie zadowolony. Praca oddziału polskiego rozwija się pięknie. Nic dziwnego, coprawda; nigdzie nie spotyka się tak znacznej ilości pięknych dziewcząt.

— Jeżeli chodzi o ilość, ma pani słuszność. O naiwność i łatwość zdobycia dla naszych celów — również. Ale przyzna droga pani, że Rosjanki, naprzykład, są namiętniejsze, Niemki — sentymentalniejsze, Paryżanki — pikantniejsze, Wiedenki — weselsze. A uroda w naszym interesie, to bardzo wiele, ale tylko na wabia... Na Polkę gość szybko poleci, ale i szybko odleci... Polka nie potrafi tak przy sobie przytrzymać, jak Francuzka, czy Niemka. A o to przecież także i może najbardziej chodzi renomowanym zakładom, których jesteśmy dostawcami. Ale mniejsza o to narazie. Przedewszystkiem, czy jest „towar Nr. 1"?

— Oczywiście. Jest całkowicie dostosowana do zamówienia pańskiego. Bardzo ładna blondynka, świeżutka, gwarantowanie niewinna, rasowa, smukła, z podupadłej rodziny ziemiańskiej, inteligentna, miła. Powiedziałbym, że to jeszcze lepsza sztuka, niż dostarczona przez Maldena z Holandji dla generała Martineza z Urugwaju. Zresztą, będzie pan mógł wnet obejrzeć. Obawiam się tylko, żeby nie było trudności z dalszym transportem i może już tu na miejscu...

— O to niech kochaną panią baronową główka nie boli. My już mamy na to swoje wypróbowane sposobiki. Przejdźmy narazie do dalszych transportów. Wiele tam jeszcze droga pani tym razem przywiozła?

— Panie Jakóbie, jak pan nawet może o to pytać? Przecież pan wie, jak starannie musiałam pilnować i jak ostrożnie traktować tak cenny towar, jak „Nr. 1". Nie mogłam ryzykować i brać ze sobą jeszcze kogoś innego. A cóżbym zrobiła, gdyby jakie dwie sztuki zetknęły się i nabrały podejrzeń?

— Ale jednak pani była łaskawa dać znać, że jeszcze i inne zamówienia są załatwione?

— Tak też jest istotnie, ale nadejdą w ciągu najbliższych dni.

— Dużo tego?

— Okrągła dziesiątka.

— Toby narazie wystarczyło. A rodzaj?

— Siedem wypróbowanych i trzy świeże...

— Wartoby, kochana pani baronowo, nieco wyrównać ten stosunek. Pani wie, że wciąż jeszcze są głupcy, domagający się tylko świeżego towaru. I to, zresztą, całe szczęście, bo w tych wypadkach możemy odpowiednio podbijać ceny. Na to, na szczęście, kryzys nie wpływa, zwiększa natomiast podaż. Słowem, więcej świeżego towaru, droga pani, więcej, więcej....

— Sam pan jednak wie, że o to teraz coraz trudniej. Jeszcze i tak ma pan tego więcej ode mnie, niż od tej z Rygi i od tego z Wiednia, choć mają lepszy rynek, niż ja.

— Co też łaskawa pani mówi? Austrja, to jeden Wiedeń, a cała Łotwa jest mniejsza, niż jedno województwo polskie. Ale nie mówmy już o tem. Raczej proszę mi opowiedzieć, jak się wszystko odbyło. Najpierw o towarze „Nr. 1".

Baronowa opowiedziała mu, jak wciągnęła w sidła Julę Krotecką, której nazwisko pan Jakób skrzętnie sobie zanotował.

— A z innemi jak było? — zapytał.

— O, w kilku wypadkach bardzo ciekawie. Trzeba przyznać naszym agentom, że mają sporo pomysłowości i zręczności. Oczywiście było kilka wypadków bardzo prostych, kilka dziewcząt wręcz się napraszało na wyjazd, choć dobrze wiedziało, na co jedzie, ale trzy — cztery wypadki chcę panu opowiedzieć. Najpierw o tej tancerce, którą zrobił Sztanber... Nazywa się Mira Korzeńkowska.

— Już notuję: towar (napisał tylko T) — Mira Korzeńkowska, agent (napisał tylko A) — Siemion Sztanber. Słucham kochaną panią baronową.

Popłynęła opowieść o sidłach, w jakie agent międzynarodowej szajki handlu żywym towarem schwytał milutką i Bogu ducha winna tancereczkę polską...

Dalszy ciąg jutro.

POŻERACZ SERC KOBIECYCH

Powieść-reportaż z tajników potwornej afery w świecie arystokracji

NIEBEZPIECZEŃSTWO NĘCI.

Noderskiego złośliwie bawiło bezsilne trzepotanie się tak pewnej siebie dziewczyny. Nie usiłował jej teraz nawet całować, przyglądał się z drwiącym uśmiechem poczerwieniałej z oburzenia i gniewu ciemnej twarzyczce, oczom, iskrzącym się bezsilną złością.

— Nabierze pani złego mniemania o mojej kulturze i grzeczności Europejczyków — powiedział. — Przekonała się pani, że bezpieczniej jest podróżować wśród Chunchuzów, mając ze sobą naturalnie eskortę amerykańską, a choćby w mniej poważnych okolicznościach tego czarnego draba.

— Niech mnie pan natychmiast puści! — Głos Mary brzmiał groźnie.

Noderski widział, że lada chwila w oczach dziewczyny zabłysną łzy bezsilnego gniewu. Namyślał się jeszcze, czy istotnie nie zrezygnować z „zabawy" i nie zwolnić uścisku. Ale to trzepoczące się bezsilnie jędrne ciało przy jego piersi rozbudziło w nim zmysły. Stawał się znów ich niewolnikiem, szukającym zadowolenia dla samego zadowolenia.

— Upokorzę się do reszty — powiedziała Mary, — ale zawołam pomocy, jeśli mnie pan nie puści.

— Słodka dziewczyno! — powiedział, usiłując ją pocałować w szyję, — poco to wszystko? Straciłem panowanie nad sobą wobec twego powabu! Zechciej ty stracić panowanie nad sobą, a wtedy przeżyjemy wspólnie czarowny sen miłosny. To jest jedyna realna korzyść w życiu szarem i nudnem...

Wpatrzyła się w niego chwilę nieruchomo, a potem nagle choć zdawało mu się, że namyśla się nad jego propozycją, chwyciła go silnie ostremi zębami za usta.

Mimowoli syknął i zwolni uścisk. Zsunęła się gwałtownie z jego kolan, upadła na dywan, zaraz jednak podniosła się i wyprostowana stanęła o trzy kroki przed Noderskim, tamującym chusteczką krew z przegryzionej wargi.

Był zły na nią i chętnieby ją zbił.

— Jak na nowoczesną Amerykankę sposób obrony dość dziki — powiedział z przekąsem, oglądając czerwoną plamę na chusteczce.

— Czy bardziej odpowiadałby panu mój murzyn, jako poskromiciel zbyt obcesowych zapałów?

— Porzućmy ten temat — usiłował roześmiać się swobodnie. — Naszą znajomość przypieczętowaliśmy krwią, naraz wyłącznie moją, to mnie napawa nadzieją, że zostaniemi prawdziwymi przyjaciółmi. Będzie to dla mnie zaszczyt i rozkosz ogromna. Pani jest czarująca z błyskami gniewu w oczach, z rozdętemi nozdrzami. A przytem czai się w pani coś niepokojącego, co trudno mi w tej chwili określić. Może to właśnie ów sex - appeal, powab kobiecy nieświadomej rozkoszy dziewczyny. Znam wiele kobiet, ale żadna z nich nie była tak niepokojąca jak pani. Przeżyć z panią przygodę miłosną, czy nawet wielką miłość byłoby czemś niezwykłem!

— Nie narażę pana na te niezwykłe przeżycia.

— Czy sądzi pani, że byłbym złym partnerem?

— Pan jest cyniczny.

— Pani jest w błędzie. W moich żyłach płynie krew słowiańska, zmieszana z krwią poetów południowej Francji. To pani raczej sprawia wrażenie dzikości, pokrytej zaledwie cieniutką warstwą cywilizacji. Proszę się nie gniewać za szczerość. To wrażenie wywołuje pani temperament, którego potęgi sama pani nie zna. A on się odezwie i kto wie, czy nie zadziwi nawet pani samej!

— Poco pan to wszystko mówi?

— By otworzyć oczy pani na to, że oszukuje się pani. Dlaczego ugryzła mnie pani w usta, a nie w nos, naprzykład? Czy to nie był instynktowny odruch, kierujący pani piękne ząbki do ust, które przed chwilą całowały panią?

— Och, co za subtelne dociekania psychologiczne! Będzie pan jadł wreszcie śniadanie? — zmieniła raptownie temat rozmowy.

Noderski uśmiechnął się.

— Nie obraziła się zatem — pomyślał, — i będzie można ponowić próbę tem skuteczniej...

— Pan, hrabio, — mówiła Mary — usiłuje być szczery, ale nawet w pańskiej brutalności widzę pozę. Wy, Europejczycy, jesteście pozerami do szpiku kości. Nie zapominacie o pozie nawet wtedy, kiedy zagląda wam w oczy śmierć, ani tem bardziej wtedy, kiedy poddajecie się najsilniejszemu z instynktów, dzięki któremu ludzkość podtrzymuje swe istnienie.

— Jakże pani obniża miłość!

— Dajmy temu spokój! Nie chcę o niej słyszeć! Jest tyle innych cudownych spraw i zajęć. Czy naprzykład pana nie zajmuje sport? Gdyby się pan nim zajął, patrzyłby pan nawet na miłość inaczej! Pana zachowanie byłoby bardziej dżentelmeńskie...

Murzyn i biała pokojowa Amerykanki przytoczyli bufecik na kółkach ze śniadaniem. Noderski czekał, aż mu się usuną. Kiedy zniknęli za drzwiami, powiedział:

— Po raz pierwszy w swem życiu usłyszałem zarzut, że nie jestem dżentelmenem. Zabolało mnie to. Człowiek, którego porwie pragnienie, nie zważa na formy, to prawda. Zdaje się jednak, że nie uchybiłem pani w niczem. Pani pocałowała mnie dobrowolnie.

— Ale skrępował pan swobodę moich ruchów...

— Jakżebym chętnie uczynił to jeszcze raz! — zawołał z nieudanym żalem.

Dalszy ciąg nastąpi.

Jutro dalszy ciąg sensacyjnej powieści p. t. „MIŁOSC ANUSI"

Październik
15
Poniedziałek
św. Teresy

Ze sportu:

Ostatnie wyniki piłkarskie

Polska—Rumunja 3:3
Polska—Łotwa 6:2
Repr. Ligi—Repr. klasy A. 2:0
Kabel—Skawinka 2:4
Nadwiślan—Fablok 2:1
Zakrzowianka—Prokocim 4:0
Hagibor—Czarni 3:5

Wypadek na ul. Dominikańskiej

Walerja Rogalska, lat 63, zam. w Prądniku Białym najechana została wczoraj na skrzyżowaniu ul. Grodzkiej i pl. Dominikańskiego w Krakowie, przez dorożkę konną powożoną przez Jana Walczyka, lat 27, dorożkarza, zam. przy ul. Żółkiewskiego 3, wskutek czego doznała ogólnych kontuzji na ciele.

Wezwane Pogotowie Ratunkowe przewiozło ją do szpitala św. Łazarza, zaś Walczyka zatrzymano.

Wykrycie tajnego domu schadzek

Policja bolechowska wpadła na trop tajnego domu schadzek w Bolechowie, mieszczącego się w mieszkaniu niejakiego Jakóba Dickmana. W toku dochodzeń ustalono, że Dickman utrzymywał w swym domu kobiety lekkich obyczajów, ściągając z nich wysokie opłaty i prezenty w naturze. Gdy „pensjonarjuszki“ Dickmana nie chciały przyjmować gości, zmuszał je biciem do uległości.

Aresztowania

Policja krakowska aresztowała Ledwosa Józefa, lat 37, Kopacza Marjana, lat 20 i Góreckiego Tadeusza wszystkich za kradzieże oraz Dyma Pejsacha, lat 24, zam. przy ul. św. Wawrzyńca 20, za kradzież.

Samobójstwo kupca

Przy ul. 1-go Maja w Łodzi popełnił samobójstwo przez powieszenie się kupiec Juda Rufek.

Gdy desperacki czyn dostrzeżono Rufek już nie żył. Przyczyną rozpaczliwego kroku katastrofalna sytuacja materjalna.

Zmiany w fabryce tytoniu

Jak się dowiadujemy onegdaj w fabryce tytoniu w Krakowie, była lustracja delegatów monopolu tytoniowego.

W związku z tem podobno p. Gajdecki, dyrektor fabryki tytontu w Krakowie, z dniem 1 listopada opuszcza swoje stanowisko. Miejsce jego zajmie p. Myśliński, dotychczasowy dyrektor fabryki tytoniu w Winnikach. P. Myśliński przyjechał już do Krakowa i obejmuje urzędowanie.

Kradzieże

Serwet Marja, zam. przy ul. Wielopole 15, doniosła organom PP., że do jej mieszkania dostał się nieznany sprawca przez otwarte okno, skąd skradł jej garderobę, 2 zegarki i 6 łyżeczek srebrnych łącznej wart. 150 zł.

Frączek Franciszek, rzeźnik, zam. w Piaskach Wielkich doniósł organom PP., że skradziono mu pozostawionego bez nadzoru na Nowym Kleparzu konia z wozem wart. 500 zł.

KRONIKA KRAKOWA

Samobójstwo kolejarza w Krakowie

Wczoraj zmarł w swem mieszkaniu Henryk Chyłko, lat 44, emer. maszynista kolejowy, zam. przy ul. Nowowiejskiej L. 5 w Krakowie, wskutek zażycia większej ilości weronalu w celu samobójczym. Ustalono, że Chyłko od 2 lat cierpiał na chorobę nerkową i stale zażywał różne proszki uśmierzające, oraz weronal. Zwłoki po dokonaniu oględzin przez lekarza obwodowego przewieziono do Zakładu Medycyny sądowej.

Krwawa bójka na ul. Kazimierza Wielkiego

Wczoraj wezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Kazimierza Wielkiego w Krakowie, do Stanisława Czopika, zam. przy ul. Łącznej 7, który na tle osobistych porachunków pobity został przez Piotra i Henryka Buczaków, zam. przy ul. Wrocławskiej 85. Po opatrzeniu pozostawiono go opiece domowej.

Śledztwo w sprawie katastrofy w Krzeszowicach

Śledztwo w sprawie katastrofy pod Krzeszowicami trwa.

Wina katastrofy ogranicza się bezsprzecznie do osób dyżurnego Niecia, blokowego z Woli Filipowskiej Drabika, oraz blokowego Ziembińskiego z Krzeszowic. Konduktor Kaczmarek może ponosić winę zmniejszenia prawdopodobieństwa możliwości zapobiegnięcia katastrofie.

Nieć, tłumaczy się tem, że widząc rzekomy defekt aparatu blokowego, wobec prawdopodobieństwa konieczności przejazdu pociągu pospiesznego Nr. 107 (drugi pociąg) torem innym niż przepisany (drugi zamiast pierwszym), podał do Woli Filipowskiej meldunek: zatrzymać pociąg Nr. 107 i zawiadomić go o przejeździe torem drugim w Krzeszowicach.

Tłomaczy on to w ten sposób, że meldunek należy zrozumieć, jako nakaz zatrzymania pociągu aż do dalszej dyspozycji.

Blokowy z Woli Filidowskiej chciał rozumieć powyższy meldunek w ten sposób, że miał on zatrzymać pociąg, zawiadomić go o zmienionej dyspozycji wjazdowej i puścić go następnie dalej.

Obate tłomaczenia na pozór wyglądałyby na możliwe i w grę tu mogłaby wchodzić tylko niejasność dyspozycji Niecia. Ale właśnie ta niejasność dyspozycji wymagała przed dalszą ekspedycją pociągu pospiesznego z Woli Filipowskiej wyjaśnień, bez których nie wolno było pociągu na sam domysł odprawić. Brak było bowiem również przepisowego meldunku z Krzeszowic, że pociąg już wjechał.

Co do winy blokowego Ziembińskiego, to jakkolwiek nie można mówić o nim jako o bezpośrednim sprawcy katastrofy, to jednak jest on rownież współwinnym, gdyż służba ruchu, to mechanizm, w którym wszystkie kółka muszą działać sprawnie. Jego manipulacja powierzonym mu do obsługi aparatem blokowym była także nieprzepisowa i naganna. Gdy do tego wszystkiego dodamy jeszcze mgłę, to stworzymy sobie pożałowania godny obraz splotu okoliczności sprzyjających katastrofie.

Zachodzi tu jeszcze kwestja nieprzepuszczenia pociągu Nr. 7 przez tor normalny, t. j. pierwszy, który podobno miał być wolny. Nieć składa to na jakiś defekt aparatu blokowego, z innej zaś strony mówi się o tem, że semafor wykazujący dwa ramiona, to był podobno nie cofnięty jeszcze wjazd pociągu towarowego, który przed pospiesznym wjechał do stacji.

Co do konduktora Kaczmarka, to stawiane mu zarzuty polegają na zaniedbaniu przez niego okoliczności, któreby się mogły przyczynić do zmniejszenia rozmiarów katastrofy.

Eksmisje w porze zimowej

Stowarzyszenie lokatorów i sublokatorów, mające siedzibę w Warszawie, opracowało memorjał do p. ministra sprawiedliwości, występując **przeciwko zamierzonym jakoby eksmisjom w okresie zimowym z mieszkań 1 i 2-izbowych.**

Stowarzyszenie wskazuje o przyznaniu ochrony podczas zimy tylko bezrobotnym, gdy ustawa o ochronie lokatorów wyraźnie mówi o moratorjum dla bezrobotnych i o ochronie zimowej, a więc chroni nietylko bezrobotnych, ale także posiadaczy drobnych mieszkań w czasie zimy.

Ponieważ z dniem 31 października r. b. wchodzą w życie przepisy o moratorjum mieszkaniowem w porze zimowej, memorjał wskazuje na ogromną ilość eksmisyj, wyznaczonych na 31-go października.

Spadający szyld zabił kobietę

Sezon jesiennych wichrów przynosi serję wypadków ciężkich okaleczeń lub śmierci z powodu spadających szyldów i gzymsów.

W Łodzi przed domem nr. 24 ul. Drewnowska urwał się szyld, wiszący na murze, który spadł na głowę Józefie Adamczyk. Stan Adamczykowej jest beznadziejny.

Szofer na ławie oskarżonych

Przed krakowskim Sądem apelacyjnym, zasiądzie dziś na ławie oskarżonych, Bogdan Maślanka, szofer, oskarżony o zniewagę Państwa Polskiego, o kradzież biżuterji na kwotę 2.000 zł. oraz o szereg innych przestępstw.

Oskarżonego bronić będzie adw. dr. Milan Markowicz.

Oszustwa dolarowkowych agentów

Na terenie województwa poznańskiego pojawili się oszukańczy kontrolerzy obligacji pożyczek państwowych.

Przedstawiają się jako delegowani do obliczenia wysokości wypłat 5-proc. Państwowej Pożyczki Konwersyjnej, po rzekomej kontroli obligacji wkładają je do koperty.

W urzędach skarbowych nieostrożni właściciele pożyczek stwierdzają, że padli ofiarą oszustwa. Wewnątrz zamiast obligacji znajdują się zamówienia na pożyczkę dolarową, której obligacjami handlują agenci Krakowskiego Banku Kredytowego.

Władze śledcze wszczęły pościg za oszustami.

Knr. poz. 467

Z teatru im. J. Słowackiego

Poniedziałek „Lilla Weneda“.

Adria: „Królowa szybkości“ i „Pilnuj swego męża“.
Apollo: „Imperatorowa“.
Atlantic: „Przedmieście“ i „Nie będziesz kurtyzaną“.
Bagatela: „Symfonja życia“ i rewja „Wikarówka“
Dom żołnierza „Rasputin“
Promień: „Parada rezerwistów“.
Słonko: „King-Kong“.
Świt: „Pat i Patachon jako kompozytorowie“.
Sztuka: „Burza w szklance wody“.
Uciecha: „Markiza Jorisaka“
Wanda: „Czy Lucyna to dziewczyna
Zorza: „Branka syna puszczy“

Radjo

G. 6 45 Audycja poranna. 7.50 Pogadanka dla kobiet, 11.58 Hejnał, 12.03 Transmisja z Warszawy, 13.05 Płyty, 15.30 Transm. z Warszawy, 15.35 Przegląd komunikacyjny, 17.25 Odczyt, 18.00 „Stary Kraków“, 18.10 Wiadomości bieżące, 18.15 Transm. z Warszawy, 19.25 Chwilka społeczna, 19.30 Transmisja z Warszawy, 19.50 Wiadomości sportowe, 20.00 Transm. z Warszawy, 21.00 Koncert, 21.45 Transmisja z Warszawy, 22.00 Koncert, 22.15 Płyty, 23.00 Transm. z Warszawy.

Nocny dyżur aptek

Apteka pod Złotym Słoniem Grodzka 22, pod Jagiełłą Pl. Matejki 3, Nowowiejska Wybickiego 1, pod Trzema Gwiazdami Rakowiecka 12, Sternbacha Dietla 36.

Podgórze pod Hygeą Kalwaryjska 27

Nocny dyżur lekarzy:

Dr Böhmerwald Henryk Długa 41 tel. 181-81, Dr Glaser Ignacy Sebastjana 3 tel. 119-04, Dr Ralski Lesław Zyblikiewicza 5, Dr Walewski Stan. Łobzowska 27 tel. 155-50.

CO MÓWI LUD?

Bestjalskie wyczyny kamienicznika

Do Redakcji naszej zgłosił się p. R. Groszek i opowiedział nam o niezwykłym wypadku, który miał miejsce onegdaj w Bronowicach Małych, pod liczbą 237, w domu własności Piotra Sułki, który jest woźnym w Związku Ziemian przy ul. Batorego 21.

Mianowicie p. Sułek, który prowadzi sprawę sporną ze swym lokatorem Romanem Groszkiem, wtargnął podczas nieobecności tegoż lokatora z siekierą w ręku, porąbał drzwi i okna. Żona lokatora zmuszona była uciekać przez okno i udała się na posterunek PP. w Bronowicach Małych. Gdy wróciła z posterunkowym zastała mieszkanie otwarte, drzwi i okna powyrywane, nawet blacha z pieca była zerwana.

Bestjalskim wyczynom kamienicznika powinny się zainteresować odpowiednie czynniki.

Ujęcie fałszerzy pieniędzy

Policja śledcza w Sosnowcu wpadła na trop szajki fałszerzy monet. W mieszkaniu stróża Jana Niszczyka w Sosnowcu wykryto kompletnie urządzoną fabrykę fałszywych monet 5 i 10 złotowych. W czasie rewizji zajęto większą ilość falsyfikatów oraz przybory do fabrykowania tychże. W związku z tem zaaresztowano całą rodzinę Niszczyka oraz Józefa Fritza ze Lwowa. Falsyfikaty te rozpowszechniane były przeważnie na terenie powiatu częstochowskiego oraz Górnego Śląska. Aresztowanych przekazano władzom sądowym.

Samobójstwo na Plantach

Wczoraj o godz. 1-szej w południe wezwano pogotowie ratunkowe na Planty naprzeciw Teatru Miejskiego, gdzie Zygmunt Dąbrowski, monter, zam. Rynek gł. 39, wypił w celu samobójczym jakiejś nieznanej trucizny. Po przepłukaniu żołądka przewieziono go na oddział chirurgiczny szpitala św. Łazarza.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.)

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Alfred Kwiatkowski Drukarnia „Monopol“ Kraków Na Gródku 2. Telefon Nr. 173-02